

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

PREMIER musi zginąć

Wielka polityka.

Wielki biznes.

Wielki dramat zwykłego człowieka.



KRZYSZTOF KOZIOŁEK

PREMIER musi zginąć

 **MANUFAKTURA
TEKSTÓW**

Redakcja i korekta

Daniel Lesiewicz

Projekt okładki

Kamil Pietruczynik

www.kamilpietruczynik.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziołek 2011
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2011

www.manufakturatekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolek.pl

Wydanie drugie

Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-945878-8-8

Druk i oprawa

TOTEM - Inowrocław

*Dedykuję
Alfredowi Siateckiemu*

*Sprawiedliwość trzyma miecz.
Gdy zabierze się miecz, pozostanie waga.
Wagę mają też sprzedawcy.*

Stratis Mirivilis

PROLOG

Krzyż celownika karabinu snajperskiego Sako TRG znalazł się dokładnie na piersi premiera. Strzelec nabrał głęboko powietrza, przytrzymał je w płucach, odczekał chwilę, nacisnął spust i niemal w tym samym momencie pocisk wbił się w ciało premiera dwanaście centymetrów pod lewym obojczykiem, przebijając prawą komorę serca. Otwór wejściowy po kuli nie miał nawet centymetra średnicy, za to przy wyjściu wyrwała ona ofercie prawie pół pleców. Strzał było słychać w promieniu nie większym niż kilka metrów od karabinu, tak więc dziennikarze zgromadzeni przed wejściem do Sejmu niczego nie usłyszeli, tak samo jak ochrona.

W tym samym ułamku sekundy, w którym premier poczuł potężne uderzenie w klatkę piersiową, zmarł. Jednak jego mięśnie pracowały jeszcze przez chwilę, ciało zrobiło, jeśli można użyć takiego określenia, jeszcze jeden krok, zanim upadło.

W pierwszej chwili dwaj funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu znajdujący się tuż przed premierem pomyśleli, że ten się potknął. Kiedy jednak zaczął lecieć twarzą w stronę chodnika, nie próbując przy tym rękoma zamortyzować upadku, wiedzieli już, że stało się coś złego. Gdy padł na ziemię, ich oczom ukazała się wielka plama krwi rozlewająca się na kremowej marynarce.

Obaj zaczęli rozglądać się dookoła, szukając wzrokiem zamachowca. Nagłym ruchem ręki wyszarpnęli z uszu słuchawki, zaraz po tym, gdy usłyszeli w nich wrzaski dowódcy grupy, mogące przyprawić o pęknięcie bębenka. Jeden z nich, starszy stopniem, przykucnął, dotknął palcami szyi

leżącego, spojrział na stojących obok ludzi i wymownie pokiwiał głową.

Premier nie żył, trafiony strzałem prosto w serce.

ROZDZIAŁ 1

Pięć dni wcześniej

Gdyby nawet któryś z gości hotelu „Szkłarska Poręba” znajdującego się tuż przy zejściu na czarny szlak zobaczył ową trójkę: dwóch mężczyzn i jedną kobietę, pomyślałby, że to turyści. Zresztą wyglądali jak turyści i dokładnie tak samo się zachowywali: przekomarzali, poklepywali po plecach, panowie w dłoniach trzymali puszki piwa, z których co chwilę pociągali spore łyki. Dla postronnego obserwatora wyglądali zupełnie jak grupa dobrych znajomych, może studentów, która przyjechała na weekend w góry zabawić się i odstresować. Mógł nieco dziwić fakt, że wybierali się na pieszą wycieczkę tuż przed zapadnięciem zmierzchu - a tego dnia ciężkie, deszczowe chmury przesłaniały niebo od samego rana - ale tutejsi mieszkańcy już nie takie rzeczy widzieli.

Jednakże gdyby ktoś mógł zajrzeć do środka puszek i posmakować znajdującego się w nich płynu, zdziwiłby się niepomrotnie, nie widząc i nie czując nawet śladu chmielowej pianki. Bo to, co popijali mężczyźni, było zwykłą wodą. Gdyby ten sam obserwator dobrze przyjrzał się też butom owej trójki, powziąłby już poważne podejrzenia, czy są oni tym, za kogo chcą być uważani. Nie było to bowiem standardowe obuwie trekkingowe, a profesjonalne buty używane przez służby mundurowe.

*

Tuż za ostatnimi zabudowaniami czarny szlak wiodący do wodospadu Kamieńczyka ostro schodzi w dół, by zaraz po-

tem zacząć się powoli pięć pod górę. Kilkadziesiąt metrów po wejściu w las trzeba przejść przez wolno płynący strumyk. Jest on na tyle wąski, że nie było potrzeby przewieszania nad nim mostku, i na tyle szeroki, iż jednym susem nie da się go przeskoczyć, trzeba zrobić kilka kroków, stąpając przy tym po wystających z wody kamieniach. Niby nic trudnego, aczkolwiek w zapadających ciemnościach nie jest to rzecz najłatwiejsza. Nic dziwnego więc, że jeden z mężczyzn, lądując na ostatnim kamieniu, stracił na moment równowagę i, czując jak się ześlizguje, instynktownie napiął mięśnie nóg i skoczył w stronę brzegu. Do pełni szczęścia, czyli wylądowania na suchym gruncie, zabrakło może trzydzieści centymetrów. Mężczyzna prawą nogą wpadł w tę część strumienia, w której woda płynęła leniwie, a pod jej cienką warstwą kryła się gruba pokrywa błota. Zaklął cicho pod nosem, wyciągnąwszy but syknął w stronę pozostałej dwójki, która zaczęła się naśmiewać z jego zwinności. Potrząsnął kilka razy nogą, parząc jak od bieżnika buta odpadają kawałki błota.

Chwilę później cała trójka ruszyła w dalszą drogę. Uszli pół kilometra, gdy znów doszło do niebezpiecznej sytuacji. Tym razem kobieta, przechodząc przez mostek zbudowany z drewnianych bali, poślizgnęła się na mokrej nawierzchni i gdyby nie to, że w ostatnim momencie złapała się metalowej barierki, runęłaby w dół.

*

Trudno powiedzieć, czy to był skutek błędu mechanika, który kilka dni wcześniej wymieniał opony na nowe, czy też może wynik niedopatrzenia właściciela auta, który nie sprawdził solidności przykręcenia śrub. Możliwa była też trzecia opcja: zmęczenie materiału. W każdym bądź razie, bez względu na to kto lub co zawinił, efekt był taki, że Tomasz Mika zamiast być w drodze do domu, siedział już trzecią godzinę na niewygodnym krześle w warsztacie samocho-

dowym we wsi o nazwie Suszki, podczas gdy dwaj szemrani mechanicy męczyli się przy naprawie zniszczonego zawieszenia.

Mika był projektantem mostów i z tego powodu często i dużo jeździł po kraju. Tym razem wracał z Piechowic pod Jelenią Górą, gdzie trwał generalny remont mostu na rzece Kamiennej, który osobiście nadzorował. Lata pracy w zawodzie nauczyły go, że budowlańcom nie można ufać i jeśli się chce, żeby coś było zrobione dobrze, to najlepiej zrobić to osobiście. Oczywiście sam nie był w stanie układać zbrojenia czy wylewać betonu, mógł za to robotnikom patrzeć na ręce. Nie darzyli go za to zbyt dużą sympatią, ale nie takie było jego zadanie, by go lubiano. Miał być efektywny i był.

Po kontrakcie w Piechowicach planował odejść z firmy, w której przepracował już pięć lat. Od dawna marzył o założeniu własnego biura projektowego. Miał 32 lata, ogromną wiedzę z zakresu budowy mostów jak na tak młody wiek i przekonanie, że sobie poradzi. Cóż było chcieć więcej?

- Długo jeszcze? - spytał podenerwowany Mika, patrząc niecierpliwie na zegarek.

- Pytał pan o to samo pół godziny temu - burknął ten mechanik, którego Mika już na samym początku ochrzcił mianem gbura. Normalnie po tak nieuprzejmym potraktowaniu jak w tym warsztacie (na pytanie, czy naprawią mu wóz, usłyszał wiązanekę, od której mogły zwiędnąć uszy) poszukiwałby innego. Ale nie tym razem. Po pierwsze, miał w ogóle szczęście, że w tej zapadłej dziurze udało mu się znaleźć kogokolwiek znajdującego się na mechanice samochodowej. Po drugie, z tego co zobaczył, zaglądając pod samochód, zawieszenie było w tak fatalnym stanie, że koło w każdej chwili mogło się urwać, a wtedy nie pozostałoby mu nic innego jak wezwać pomoc drogową, narażając się na spore koszty. - Po-

wiedziałem wtedy, że jeszcze jakąś godzinę, więc zostało pół, jak w mordę strzelił - mechanik splunął tak niefortunnie, że lepka maź, bliska kolorem smarowi walającemu się dookoła, spadła na czubek jego buta. - Czego rżysz? - warknął na pomocnika.

Ten przygryzł wargę i odwrócił głowę, nic nie mówiąc. Chłopak nie powiedział jeszcze ani słowa, odkąd Mika zjawiał się w warsztacie trzy godziny temu i gotów był się założyć o grube pieniądze, że albo jest niemową, albo synem gbu-ra. Na tę ostatnią myśl uśmiechnął się pod nosem. Tak, obaj mężczyźni pasowali do siebie wręcz idealnie.

*

Nie minęło nawet pół godziny, odkąd trójka niby-turystów dotarła do ujęcia wody pitnej dla Szklarskiej Poręby, znajdującego się tuż przy czarnym szlaku, gdy stojąca na czatach kobieta, wyposażona w mały noktowizor, podniosła alarm.

- Ktoś się zbliża - szepnęła do miniaturowego mikrofonu ukrytego w rękawie. - Chłopak z plecakiem, wygląda na 20, może 25 lat.

- Daleko jest? - spytał pierwszy z mężczyzn.

- 80 metrów, jeszcze mnie nie zauważył.

- Zdejmij gogle i zajmij go na chwilę.

Kobieta zdjęła noktowizor, ściągnęła kurtkę i zawięła w nie urządzenie, po czym pakunek schowała za pniem drzewa. Odpięła zamek polara tak, aby uwydatnić dekolt. Gdy nieznajomy zbliżył się na 15 metrów, krzyknęła przeraźliwie, omiatając go snopem światła silnej latarki.

- Ale mnie pan przestraszył! - powiedziała po chwili, szybko i głęboko oddychając.

- Przepraszam. Co pani tu robi sama o tej porze? - zapytał, podchodząc bliżej.

- Skręciłam nogę w kostce - skrzywiła się znacząco. - Kolega poszedł po pomoc - pokazała ręką w stronę Szklarskiej

Poręby, przy tym wyciągnęła ją na tyle mocno, by zamek bluzy rozpiął się jeszcze bardziej.

- Poszedł po pomoc? - powtórzył machinalnie, nawet nie zerkając w kierunku, który wskazała. Wzrok miał utkwiony w dekolt.

Uśmiechnęła się delikatnie.

Nieznajomy już miał coś powiedzieć, gdy nagle poczuł, jak ktoś łapie go od tyłu za głowę i bark. Nie zdążył nawet zareagować, silny uchwyt skręcił mu kark.

Napastnik zmarszczył nos, opierając ciało o drzewo. Nie wiedzieć czemu, kopnął zwłoki na wysokości nerek.

- Przestań! - wycodziła ostro.

- Zaczynasz wymiękać? - zaśmiał się gardłowo.

- Głupi jesteś - odcięła się błyskawicznie. - Taki cios może zostawić ślad.

Nic nie odpowiedział.

- Mamy trupa. Co teraz? - rzuciła do mikrofonu bez cienia emocji.

- Chwila, niech się zastanowię - padło w słuchawce. - Ja skończę za dwie minuty - wstrzymał oddech. - Mostek. Zrzućmy go z tego mostku, który mijaliśmy pięćdziesiąt metrów stąd. Tylko tym razem trzymajcie się mocno poręczy - warknął.

Gdy szef grupy skończył zadanie i wrócił do pozostałej dwójki, mężczyźni wzięli zwłoki i przenieśli w wybrane wcześniej miejsce. Kobieta znalazła kamień odpowiedniej wielkości, uderzyła nim w skroń nieznajomego, po czym to swego rodzaju narzędzie zbrodni wyrzuciła daleko w nurt potoku. Ciało wrzucili do wody z wysokości trzech metrów. Kiedy padło na plecy, z ich gardeł wydobył się jęk zawodu, nie ryzykowali jednak zejścia na dół po śliskich kamieniach, by odwracać zwłoki na bok.

- A pan się czego śmieje? - warknął mechanik, wycierając flegmę w nogawkę spodni.

- To mówi pan, że jeszcze pół godziny? - Mika uznał, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Może pół, może nie. Musimy to jeszcze sprawdzić, zanim przykręcimy koło.

- Proszę się pospieszyć, mam już spore opóźnienie - szepnął, znów zerkając na zegarek. Dochodziła 19.00 i, gdyby nie ta pechowa awaria, już dawno byłby w domu.

- Weź mnie pan więcej nie denerwuj - powiedział mechanik i ze złością uderzył kluczem w tarczę hamulcową tak mocno, że odleciała od niej mała część.

- To się nie zepsuje? - spytał zaniepokojony. - Zamiast mi samochód naprawić, to jeszcze bardziej go uszkodzą - pomyślał poirytowany.

- Panie - brudną dłonią otarł pot z czoła. - Nie ucz pan ojca dzieci robić. I w końcu daj nam pan w spokoju popracować. A jak się panu aż tak bardzo nudzi, to sobie człowieku przeczytaj tamto ogłoszenie. Szczególnie polecam punkt trzeci i czwarty - pokazał palcem na ścianę nad czymś, co kiedyś było biurkiem, a obecnie najwyraźniej pełniło tylko funkcję stojaka dla wszelkiego rodzaju puszek i puszcerek.

Mika podszedł do tablicy, zerknął na cennik, zaczął czytać pod nosem. „(1) Standardowa naprawa auta - 100 procent ceny według taryfy. (2) Naprawa auta, gdy klient przeszkadza mechanikowi - 150 procent. (3) Naprawa auta, gdy klient przeszkadza mechanikowi i próbuje go pouczać - 200 procent. (4) Naprawa auta, gdy klient przeszkadza mechanikowi, próbuje go pouczać i mu pomagać - 250 procent”.

Uśmiechnął się nieznacznie, odwrócił, żeby zobaczyć, jak mechanik, klęcząc przy tym jak szewc, kopie ze złością w koło.

- Mówię ci, zwolnij - syknęła kobieta. Siedziała na tylnym siedzeniu i co chwilę zapuszczała żurawia, by sprawdzić prędkość, z jaką jej kolega prowadził ciemnogatowe bmw.

- A ja ci mówię: zamknij się - odciął się kierowca. - To ja prowadzę i to ja decyduję, z jaką prędkością mamy jechać. Prawda? - zwrócił się w kierunku drugiego mężczyzny.

- Szczerze mówiąc, ona ma rację - stwierdził drugi pasażer. - Leje jak z cebra, nie znasz dobrze tej trasy, a pędzisz jak debil.

- Jak debil? - spytał kierowca.

- Pół godziny temu, za Bolesławcem, mało nie zepchnąłeś tamtego auta z drogi - stwierdził pasażer.

- Wielkie mi halo - kierowca wzruszył ramionami. - Facet najwyżej wylądowałby w rowie, co z tego?

- To, że wracamy z akcji i nie powinniśmy się rzucać w oczy - zauważyła z przekąsem. - Zwolnij.

- Może mam jechać pięćdziesiątką? - obrócił się w jej stronę zaledwie na ułamek sekundy, ale to w zupełności wystarczyło, aby stracić kontrolę nad tym, co działo się na drodze.

- Uważaj! - krzyknął pasażer. - Sarna!

Kierowca odwrócił głowę, wcześniej instynktownie nacisnąwszy pedał hamulca. Ale było za późno, zwierzę znajdowało się w połowie jezdni, zaledwie kilka metrów od samochodu. Mężczyzna podjął ostatnią rozpaczliwą próbę omięcia sarny, puścił hamulec i odbił kierownicą w prawo, jednak zderzenia nie udało się uniknąć. Huk był tak wielki, jakby uderzyli w betonową ścianę, a nie w żywą istotę. Potrącone zwierzę wpadło na maskę, głową uderzyło w przednią szybę, na której pojawiła się pajęczynka pęknięć.

- Skarbie, spóźnię się - Mika dzwonił do żony z komórki.
- Nawaliło mi zawieszenie, straciłem mnóstwo czasu w ja-

kimś wiejskim warsztacie samochodowym. Cud, że to w ogóle naprawili - na myśl o mechanikach miał ochotę zakląć. Z budowlańcami nigdy nie miał problemu, więc następnym razem takim domorośłym specem od aut też nie pozwolił sobie w kaszę dmuchać. Po tym postanowieniu od razu poczuł się lepiej.

- O której będziesz? - usłyszał jej aksamitny głos, poczuł przechodzący po plecach dreszcz.

- Zaczęło padać, w dodatku muszę uważać na wariatów w bmw, jeden już mnie mało do rowu nie zepchnął.

- Uważaj na siebie!

- Uważam, uważam - zapewnił. - Będę gdzieś za godzinę.

- To się nawet dobrze składa - uśmiechnęła się. - Zdążę się wykapać.

*

- To jeleń, a nie sarna - wychrypiął kierowca. Wygramoliwszy się z auta, wskazał na rogi zwierzęcia. Spod zgiętej w harmonijkę maski unosiły się kłęby dymu.

- Sarna, jeleń, co za różnica? - odparł drugi z mężczyzn.

- Gdybyś jechał wolniej, zdążyłbyś zahamować.

- Przestańcie się kłócić! - wrzasnęła kobieta. - Zwijamy się stąd, zanim ktokolwiek nas zobaczy i zechce pomóc. Jak najszybciej musimy znaleźć inny samochód. Mamy mało czasu, zaraz ktoś da znać policji o wypadku.

- Jaka to wioska? - zapytał kierowca, pokazując palcem na tablicę z nazwą miejscowości stojącą dwieście metrów dalej.

- Borów Wielki - odpowiedział drugi z mężczyzn.

- Potrafisz przeczytać napis z takiej odległości? - zdziwiła się.

- Nie - uciął krótko. - Przeczytałem nazwę tej wiochy, gdy chwilę temu przez nią przejeżdżaliśmy. Wy się skupialiście na kłótni, a ja tymczasem rejestrowałem trasę i to, gdzie się obecnie znajdujemy.

- Szkoda, że on nie jest takim zawodowcem jak ty - prychnęła z pogardą.

*

To czysty przypadek sprawił, że tego dnia Daria Mika zapomniała zamknąć drzwi na górny zamek. Do tej pory przydarzało się jej to sporadycznie i niemal tylko podczas obecności męża w domu. Jednak tego dnia, gdy wróciła z czteroletnią córką Paulą z przedszkola i wchodziły obie do środka, zadzwonił telefon. Daria przytknęła drzwi, położyła torby z zakupami na podłodze i zaczęła rozglądać się za aparatem.

- Cześć Daria - usłyszała w słuchawce szczebiot najlepszej przyjaciółki.

- Anita, fajnie, że dzwonicz - odpowiedziała, szukając wzrokiem małej. Paula w międzyczasie zdążyła się usadowić przed telewizorem, złapać pilot w swoje małe rączki i włączyć ulubione kreskówki.

- Masz chwilkę?

- Jasne - uśmiechnęła się. - Musisz mi dać minutkę, właśnie weszliśmy do domu - rzuciła ciepło do słuchawki, po czym wolną ręką rozebrała siebie i małą, później, cały czas rozmawiając z przyjaciółką, przeniosła torby ze sprawunkami do kuchni, jedna po drugiej. Na końcu wyciągnęła klucze z zewnętrznej strony drzwi, zatrzasnęła je, a klucz włożyła do dolnego zamka i przekręciła.

Anita z najdrobniejszymi szczegółami, także tymi najbardziej pikantnymi, opowiedziała o wczorajszej randce z nowym chłopakiem. Nie mogła też pominąć wrażenia, jakie zrobił na koleżankach z biura, przysyłając jej do pracy wielki bukiet czerwonych róż. Kiedy rozmowa dobiegła końca, Daria Mika na śmierć zapomniała o górnym zamku.

*

W pierwszym domu niby-turyści nie zastali nikogo. Po krótkiej wymianie zdań ruszyli dalej.

- Musimy się streszczać - poganiała kobieta.
- Wiemy o tym doskonale, nie musisz nam tego co minutę powtarzać - burknął kierowca. - Samochodu z pustego garażu przecież nie wytrzasnę.
- Tam jest auto - drugi z mężczyzn pokazał palcem na sąsiednią posesję.
- Szybko - poleciła.

*

Kiedy zabrzmiał dzwonek, Paula krzyknęła: „Tatuś!” i co sił pobiegła do drzwi. Przekręciła klucz, złapała za klamkę, drzwi się otworzyły.

- Ty nie jesteś tatuś - powiedziała, krzywiąc się.
- Nie - odrzekł kierowca. - Jak masz na imię?
- Paula.
- Jesteś sama w domu?
- Nie, z mamusią. Mamusia bierze kąpiel, a tatuś zaraz przyjedzie z pracy i zjemy razem kolację. Dzisiaj będzie pizza.
- Zjecie albo i nie zjecie - mężczyzna uśmiechnął się zło-wrogo.

*

Niecałe 50 kilometrów, jakie zostały Mice do domu, pokonał w półtorej godziny. Poszłoby szybciej, nawet biorąc pod uwagę padający deszcz, gdyby nie korek tuż za Szprotawą spowodowany jakimś wypadkiem. Mika był zły na siebie, że zmarnował tyle czasu, choć tak po prawdzie, to nie była jego wina. Ale mimo świadomości tego, złość wcale nie mijała. Dopiero na kilka kilometrów przed celem podróży zaczął pogwizdywać. Radość znikła momentalnie, gdy wyjechał z ostatniego zakrętu przed Borowem. W oddali błyskały niebieskie światła, przed jego domem stała karetka pogotowia i kilka radiowozów. - Dlaczego tylko ambulans nie ma włączonego koguta? - pomyślał machinalnie, a wysiadając z auta, nawet nie zatrzasnął drzwi.

- Co się stało!? - krzyknął, biegnąc w stronę stojącego przed gankiem policjanta.

- Kim pan jest? - funkcjonariusz zadał pytanie, zastawiając sobą wejście do domu.

- Chcę wejść do środka... Mieszkam tu... - wydyszał. - Razem z żoną i córką - próbował dojrzeć, co się dzieje wewnątrz.

- Czy coś im się stało?!

- Proszę się uspokoić - policjant próbował położyć dłoń na ramieniu Miki, ale ten ją strząsnął.

- Uspokoić?! - wrzasnął. - Jak mam być spokojny, skoro wracam do domu, przed którym stoi karetka i nikt nie chce mi powiedzieć, czy coś się stało mojej rodzinie!? Gdzie jest moja żona i córka?

- Nie żyją - tubalny głos należał do mężczyzny w cywilnym ubraniu, który wyszedł z domu na ganek. - Bardzo mi przykro - zszedł na dół, rozłożywszy wcześniej parasol. Dopiero teraz Mika, zupełnie bezwiednie, zdał sobie sprawę z tego jak mocno pada.

- Nie żyją? - szepnął Mika, nabierając głęboko powietrza. - Jak to nie żyją? To nieprawda - zaśmiał się gardłowo, wycierając rękawem kurtki czoło, po którym strumieniami zaczęła spływać woda.

- Bardzo mi przykro - powtórzył mężczyzna w cywilu, gestem ręki odprawił policjanta w mundurze. Podszedł bliżej. - Jestem komisarz Michał Piotrowski z wydziału kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Nowej Soli. Pańska żona i córka zostały zamordowane.

- Zamordowane?

- Przykro mi.

- Mówi pan to już trzeci raz - warknął. - Przykro panu? I co z tego - wziął głęboki wdech. - Gdzie one są?

- Kto? - spytał Piotrowski zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Daria i Paula.
- Tam - skinął głową na dom.
- Chcę je zobaczyć.
- Na pana miejscu bym tego nie robił. Widok jest... - Piotrowski się zawahał. - Naprawdę nie powinien pan tego oglądać. Niech pan tam nie wchodzi. Nasi ludzie za kilka minut skończą badanie miejsca zbrodni, zabiorą ciała do kostnicy...

- Chcę je zobaczyć! - krzyknął, stawiając stopę na pierwszym stopniu schodów.

- Nie może pan tam wejść - złapał go za ramię, gdy ten był w połowie kroku. Mika szarpnął barkiem, policjant stracił równowagę i instynktownie zwolnił uchwyt.

Mika dwoma potężnymi susami dotarł do drzwi, przeskakując po kilka stopni naraz. Odepchnął próbującego mu zagrozić drogę kolejnego funkcjonariusza, wbiegł do środka. Gdy komisarz Piotrowski i towarzyszący mu mundurowy dobiegali do Miki, zobaczyli go stojącego w drzwiach sypialni. Sekundę później padł na podłogę, z wielkim hukiem uderzając głową w futrynę.

ROZDZIAŁ 2

- Gdzie on leży? - Sara Bednarz niedbale machnęła legitymacją przed nosem funkcjonariusza stojącego przed mostkiem. Gdyby nie ten dokument, mogłaby uchodzić za byłą Miss Polski sprzed góra kilku lat, zagubioną na spacerze w lesie. Długie, zgrabne nogi, figura jak z wybiegu dla modelek i blond włosy upięte w kok schowany pod niebieską czapkę z nausznikami (idealną na mroźne, wiosenne górskie poranki), ostatnim krzykiem mody. Wyglądała bosko, mimo tego że telefon zerwał ją z łóżka bladym świtem i nie zdążyła

nawet podkreślić kredką oczu, nie mówiąc o pełnym maki-
jażu.

- Tam - policjant skinął głową w stronę przeprawy, wcze-
śniej przez chwilę zawieszając spojrzenie na nogach koleżan-
ki po fachu. - Ale do strumienia można się dostać jedynie
tamtym zejściem - pokazał palcem na niskie skały za plecami.
- W nocy padał deszcz, jest strasznie ślisko. Pomóc pani
zejść? - wyciągnął dłoń.

- Tak - chwyciła go za przegub. Bez ostrzeżenia szarpnęła
rękę do siebie, drugą dłonią chwyciła pod łokieć i wykręci-
ła za plecy tak mocno, że mundurowy koniuszkami palców
mógł dotknąć własnej szyi.

- Co jest... - syknął z bólu.

- Nawet mnie nie sprawdziłeś.

- Przecież pokazała mi pani swoją odznakę.

- Tak? - zbliżyła swoją twarz do jego twarzy. - A zdążyłeś
cokolwiek przeczytać?

- Nie musiałem, znam panią - wyszeptał bezradnie. - Nadko-
misarz Sara Bednarz, słynna policjantka z Jeleniej Góry. Może
w końcu puści pani moją rękę? Już się podrapałem po karku.

- Jaki dowcipny - fuknęła, zwalniając chwyt. Zaczęła scho-
dzić do potoku, przytrzymując się skał.

- Co za babsztyl - szepnął pod nosem, rozcierając obolałe
ramię.

- Starszy posterunkowy - obróciła się w jego stronę. - Mó-
wiłeś coś?

- Nie, nic - wycedził. - Przeziębilem się, mam kaszel -
chrząknął.

- To kup płyn do płukania migdałków - mruknęła i, zanim
zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zniknęła za skalnym załomem.

*

- Dzień dobry, pani nadkomisarz - znajomy lekarz medy-
cyny sądowej jak zwykle tryskał dobrym humorem.

- Dla kogo dobry, dla tego dobry - westchnęła Sara Bednarz.

- O, widzę, że pani nadkomisarz nie ma dziś nastroju.

- Skończmy z tymi uprzejmościami - ucięła. - Kto to?

- Student z Bolesławca, przynajmniej sądząc po legitymacji.

- Kto go znalazł?

- Dwójka nastolatków. Szli do schroniska na Szrenicy, dziewczyna stanęła na mostku do zdjęcia, oparła się o barierkę i wtedy zobaczyła ciało.

- On tak leżał? - pokazała palcem na zwłoki obmywane przez wodę.

- Nie, na plecach przewróciły go wiewiórki - medyk zerknął na bawiące się na świerku dwie rude kity. - Widzisz ten komin? - dotknął plecaka wystającego kilkanaście centymetrów powyżej głowy.

- Widzę.

- Nie pasuje mi to. Z takim czymś na plecach jedyne, co mógł sobie złamać, spadając z góry w ten sposób, to nogi i ręce. Ale nie kark.

- Mnie też to nie pasuje - zamyśliła się. - Jakież urazy?

- Z boku głowy - wskazał na ranę na wysokości skroni.

- Nie widzę krwi.

- Bo jej prawie nie ma.

- A gdyby spadł na bok, uderzył się w głowę, łamiąc kark i siłą rozpędu przewrócił na plecy? - zaczęła myśleć na głos.

- Większość krwi mogła zmyć woda.

- Masz wyobraźnię - rzekł ironicznie.

- Tylko głośno myślę.

- I dobrze, chociaż tyle. Łamiesz stereotypy o mundurowych.

- Przestań się nabijać i powiedz mi, dlaczego taki scenariusz nie jest możliwy.

- Przyjmijmy, że chłopak przechodził przez mostek, pośliznął się, stracił równowagę i zaczął spadać w dół. To dobre trzy metry. Gdyby spadał, będąc przytomnym, a w takiej sytuacji powinien być, machałby rękoma jak głupi, chcąc osłonić głowę i zamortyzować upadek - tłumaczył cierpliwie. - Jeśli upadłby na bok, to co najmniej jedną rękę, tę, którą zdążyłby się zabezpieczyć i na którą by spadł, miałby złamaną. Ale mimo bólu, nawet jeżeli doznałby przy tym także złamania obu nóg, najpewniej zdołałby się wydostać ze strumienia na brzeg. Nie mam pojęcia, czy w takim stanie wytrzymałby tu całą noc, nad ranem był spory przymrozek, ale na pewno nie leżałby w wodzie. A skoro chłopak ma obie ręce całe...

- Chcesz powiedzieć, że...

- Że ktoś skręcił mu kark, a potem ciało wrzucił do strumienia, licząc, że weźmiemy to za nieszczęśliwy wypadek.

*

- Wstrząśnienie mózgu - lekarz pogotowia ratunkowego nowosolskiego szpitala pomachał komisarzowi Piotrowskiemu zdjęciem rentgenowskim przed nosem. - Facet musiał nieźle przywalić.

- Walnął łbem we framugę z takim hukiem, że byłem pewny, iż złamał sobie kark - policjant pokręcił głową z niedowierzaniem. - Kiedy się obudzi?

- Zatrzymujemy go na obserwację. Dostał silną dawkę środków znieczulających. I coś na sen, bo po tym, co się stało, przyda mu się odrobina odpoczynku.

- A skąd pan wie, co się stało?

- Chłopcy, którzy go wczoraj przywieźli, szepnęli nam słówko o tym, co się wydarzyło w Borowie.

- A mieli trzymać gęby na kłódkę. Mniejsza z tym - machnął zniecierpliwiony ręką. - Kiedy będzie można z nim porozmawiać?

- Za kilka godzin.

- Będzie przytomny?
- Głowa może go pobolewać jeszcze przez kilka dni, ale nie powinien mieć większych problemów z koncentracją, jeżeli o to pan pyta.
- Większych? - zdziwił się Piotrowski. - To znaczy, że mniejsze może mieć?
- Gdyby pan z całych sił rąbnął głową w ścianę, to, dla przykładu, tabliczka mnożenia nie sprawiałaby panu żadnych problemów?
- Tabliczka mnożenia to mi sprawia problemy bez walenia łbem o... - zamilkł, zdając sobie sprawę z tego, że mówi za dużo. - Wystarczy, panie doktorze. Dziękuję za pomoc.
- Proszę bardzo - lekarz nawet nie próbował ukryć uśmiechu.
- Zostawiam jednego z naszych ludzi, będzie czuwał na korytarzu.
- Po co?
- Standardowa procedura.

*

Natychmiast po rozmowie z lekarzem, nadkomisarz Sara Bednarz zarządziła zamknięcie czarnego szlaku na prawie kilometrowym odcinku i poleciła ściągnąć drugą ekipę techników. Nakazała dokładne zbadanie każdego kawałka trasy, ze szczególnym uwzględnieniem mostka i jego najbliższej okolicy.

Po trzech godzinach poszukiwań znaleziono dwa miejsca godne uwagi. Pierwszym była zdeptana ziemia przy drzewie nieopodal ujęcia wody, niestety ślady były tak niewyraźne, że nie udało się pozyskać dobrych odlewów, można było za to przypuszczać, że przez dłuższy czas znajdowało się tutaj kilka osób. Za to w lepszym stanie były tropy, na które policyjni technicy natknęli się przy strumieniu obok hotelu „Szkłarska Poręba”.

- Mamy tutaj osiem odcisków różnego rodzaju butów, w tym pewnie kilka naszych ludzi - zaczął wyliczać technik.
- Jeden z nich już na pierwszy rzut oka jest naprawdę godny uwagi.

- Który? - Sara Bednarz przykucnęła nad brzegiem folii, którą oddzielono fragment strumienia z wyraźnie odznaczającymi się odciskami, aby potem wypompować wodę, a ślady zalać specjalną mieszanką gipsową.

- Ten - technik wskaźnikiem pokazał odcisk, wyraźnie większego rozmiaru niż pozostałe.

- To tylko połowa podeszwy - zauważyła sceptycznie.

- Nam wystarczy - podszedł do stojącego obok stolika, na którym leżał laptop. Na ekranie widniało zdjęcie odcisku ze strumienia. - Głęboki bieżnik, specjalnie profilowany. Takiego obuwia nie używa byle kto, najczęściej jest na wyposażeniu wojskowych i policyjnych jednostek specjalnych.

- Czyli to ktoś z branży...

- Ręki bym sobie za to uciąć nie dał, ale postawiłbym grubą kasę, że tak.

- Dokończ ten odlew, opisz co trzeba, schowaj cały pobrany materiał w magazynie i na razie nikomu o tym nie mów - przyłożyła palce do ust. - Nie mów nikomu.

*

- Standardowa procedura? Trzymanie mnie pod strażą nazywacie standardową procedurą?! - Mika był bliski wybuchu. Tuż po przebudzeniu chciał wyjść z pokoju, zdziwił się więc niepomiernie, widząc na korytarzu umundurowanego funkcjonariusza. Chwilę potem ktoś zastukał do drzwi, do środka weszło dwóch mężczyzn, w tym komisarz Piotrowski.

- To dla pana bezpieczeństwa - odparł Piotrowski.

- Dla mojego bezpieczeństwa? - zdziwił się Mika.

- Pan zawsze tak wszystko powtarza? - wtrącił drugi z mężczyzn.

- Ten pan doznał wczoraj poważnego wstrząsu - Piotrowski mrugnął porozumiewawczo w stronę kolegi.

- Kim on jest? - Mika wskazał palcem, drugą ręką podciągając kołdrę. O ile Piotrowski był wysoki i wysportowany, o tyle ten drugi przypominał raczej glinę z typowego amerykańskiego filmu: wiecznie opychającego się pączkami i pijącego kawę. Miał, nie przymierzając, co najmniej 30 kilogramów nadwagi.

- Nadkomisarz Jarosław Surma, prowadzi śledztwo w sprawie śmierci pańskiej żony i córki - wyjaśnił Piotrowski.

- Myślałem, że to pan je prowadzi? - burknął Mika. - Pana nadkomisarza wczoraj nie widziałem.

- Przejąłem prowadzenie śledztwa dziś rano - wytłumaczył Surma.

- Dlaczego, jeśli można wiedzieć? - spytał Mika przymilnie.

- Pan komisarz się do tego nie nadaje?

- Jest pan niemiły - obruszył się Surma. - Komisarz Piotrowski ma wszelkie predyspozycje, by poprowadzić takie śledztwo, natomiast moja obecność ma mu w tym tylko...

- Niemiły? - przerwał mu Mika. - A jaki mam być? Straciłem rodzinę, a policja, zamiast szukać morderców, bawi się w biurokratyczne gierki!

- Doskonale rozumiem pańskie zdenerwowanie, ale chciałem zauważyć, że w ten sposób nam pan nie pomoże - Piotrowski zachował zimny spokój. - Mamy kilka pytań.

- Przepraszam - szepnął Mika. - Co chcecie wiedzieć?

- Czy coś zginęło z domu? - zapytał Surma.

Mika spojrzął na Surmę, nic nie odpowiedziawszy przeniósł wzrok na komisarza, po chwili rzekł kpiąco:

- Skąd wy bierzecie takich ludzi do policji?

Piotrowski milczał.

- Pan coś do mnie ma? - zaperzył się Surma.

- Nie, nic - Mika pokiwał przecząco głową. - Dziwię się jedynie wysokiemu poziomowi pańskiej inteligencji - wes-

tchnął. - Skąd mam wiedzieć, czy coś nie zginęło, skoro nie miałem okazji tego sprawdzić?

- Przecież był pan wczoraj w środku - Surma zmarszczył brwi.

- Był, ale krótko. Doszedł do przedpokoju i tam fiknął koziołka - zobrazował Piotrowski. - To lista wartościowych rzeczy, które znaleźliśmy wczoraj w domu po naszym przyjeździe - podał choremu kartkę papieru. - Proszę sprawdzić, czy czegoś nie brakuje.

Mice wystarczyły dwie minuty lektury.

- Wszystko jest - stwierdził zdecydowanie.

- Czyli jedyną rzeczą, jaką ukradli, było auto? - Piotrowski odebrał kartkę, złożył ją na czworo i schował do kieszeni.

- Auto? - Mika wydawał się nieobecny. - Tak, tylko auto.

- Daewoo matiz, ośmioletnie - Surma czytał z notesu. - Ile jest warte?

- Pięć, może sześć tysięcy złotych - odparł Mika. - Żona jeździła nim do pracy i na zakupy.

- Niedrogie autko - skonstatował Piotrowski.

- Skoro chodziło im tylko o samochód, to dlaczego zabili moją żonę i córkę? - zapytał nagle Mika.

- Nie wiemy tego na pewno, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że z jakichś przyczyn, nam jeszcze nieznanych, za żadną cenę nie chcieli zostawić świadków kradzieży - odrzekł Piotrowski po krótkim namyśle. - Gdyby ukradli auto, a pańska żona by się zorientowała, zadzwoniłaby na policję i złodzieje mogliby szybko wpaść w nasze ręce.

- Niedaleko pańskiego domu znaleźliśmy wypalony wrak samochodu. Ciemnogranatowe bmw, popularny model, po drogach jeżdżą takich tysiące - dodał Surma.

- Może nie tysiące, bo to była nówka sztuka, niemal prosto z fabryki, jak wynika z numeru nadwozia - wtrącił Piotrowski. - Ale faktycznie, takich samochodów jest mnóstwo.

- Skąd? - spytał Mika.
- Co skąd? - Surma odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Skąd jest to bmw? - doprecyzował Mika.
- Rejestracji nie było, musieli je zabrać - odparł Surma.
- O ile osoby poruszające się tym autem i mordercy pana rodziny, to ci sami ludzie - zastrzegł szybko.
 - Ktoś porzuca w lesie nowiutkie bmw, warte pewnie majątek, i podpała je, żeby zatrzeć ślady. Ktoś zabija matkę i jej malutkie dziecko, mieszkające w domu nieopodal tego lasu, po czym sprzed tego domu zabiera wóz. I panowie nie widziacie tutaj żadnego wspólnego mianownika? Gratuluję inteligencji - prychnął Mika.
 - Wiem, że jest pan zdenerwowany, ale... - Surma znów się zaaferował.
 - Zdenerwowany? - przerwał mu Mika. - Jasne, że jestem zdenerwowany! Zabito mi żonę i córkę, a wy nie potraficie powiązać ze sobą najprostszych faktów.
 - Kolega chciał tylko powiedzieć, że sprawdzamy każdy możliwy ślad, ale nie możemy przyjmować jednego toru śledztwa i z góry zakładać taki, a nie inny ciąg wydarzeń - Piotrowski próbował tonować nastroje. - Zresztą, nie ma pewności, że samochód został podpalony. Mógł się zapalić po zderzeniu z jeleniem.
 - Nigdy nie słyszałem, żeby jakieś auto stanęło w płomieniach po zderzeniu z sarną czy nawet dzikiem - zauważył Mika.
 - To rzeczywiście mało prawdopodobne - przyznał Piotrowski.
 - Coś jeszcze? - spytał Mika zrezygnowany. - Jestem zmęczony i mam dość tej rozmowy. Chcę odpocząć.
 - To wszystko - rzekł Surma. - Proszę być pod telefonem.
 - Dlaczego? - rzucił Mika.
 - Standardowa procedura - Surma uśmiechnął się szeroko.

- Chce pan wiedzieć, gdzie mam wasze standardowe procedury? - skontrował Mika.

- Jeszcze jedno - Piotrowski zrobił pauzę. - Na razie nie wolno panu wchodzić do domu. To miejsce zbrodni, muszą je zbadać nasi technicy.

- Przecież badali je wczoraj - zdziwił się Mika.

- To była zwykła ekipa z dochodzeniówki, chłopaki tylko wstępnie zbadali mieszkanie - tłumaczył Piotrowski. - Teraz kolejna grupa musi je sprawdzić centymetr po centymetrze. To potrwa.

- Ile? - Mika zmarszczył brwi.

- Za kilka godzin powinni skończyć - odparł Piotrowski.

Obaj policjanci ruszyli do drzwi, Surma otworzył je, wyszedł na zewnątrz. Piotrowski podniósł rękę do góry w geście pożegnania, gdy wtem Mika pstryknął palcami.

- To spalone bmw było czarne? - spytał Mika.

- Ciemnogrnatowe - sprostował Piotrowski.

- W nocy ciemny granat jest równie ciemny jak czerni - Mika się zamyślił. - Wczoraj, gdy wracałem do domu, jakiś idiota w ciemnym bmw zajechał mi drogę, to było tuż za Bolesławcem. Jechał grubo ponad setkę, wyprzedzał na zakręcie, na podwójnej ciągłej. Gdybym nie przyhamował, zepchnąłby mnie na pobocze. Chyba mi nawet zarysował lakiery na błotniku.

- Chyba? - zainteresował się Surma, który w międzyczasie wrócił do pokoju. - Nie sprawdził pan?

- Po co? Ledwie mnie drasnął, a nawet gdyby to była większa szkoda, mam autocasco, ubezpieczenie pokryłoby naprawę - wyjaśnił Mika. - A faceta i tak bym nie dogonił.

- Faceta? - Surma popatrzył na Piotrowskiego.

- Słucham? - zapytał Mika zdziwiony.

- Powiedział pan: faceta i tak bym nie dogonił - tłumaczył Surma. - Skąd pan wie, że kierował mężczyzna?

- Nie wiem - Mika wzruszył ramionami. - Ale nigdy wcześniej nie widziałem, żeby jakakolwiek kobieta prowadziła samochód w tak niebezpieczny sposób.

ROZDZIAŁ 3

Po powrocie do komendy Sara Bednarz zawitała na dyżurkę, sprawdziła biuletyn z ostatniej nocy. Gdy nie znalazła nic godnego uwagi, poszła do siebie, usiadła do komputera, zaczęła surfować po internecie. Od razu zwróciła uwagę na informację o podwójnym morderstwie w wiosce niedaleko Nowej Soli. Zaznaczyła tekst, wydrukowała go, z szuflady biurka wyciągnęła stary i mocno już zniszczony atlas samochodowy, po czym prześledziła trasę ze Szklarskiej Poręby do Borowa Wielkiego. Obie miejscowości dzieliło około 120 kilometrów. - Blisko - szepnęła sama do siebie, nie wiedząc jeszcze, co chodzi jej po głowie.

Nie namyślając się wiele, ufna swoim przecuciom, wykonała telefon do komendy w Nowej Soli, od tamtejszego dyżurnego dostała numer komórki do oficera prowadzącego sprawę morderstwa. Rozmowa z nadkomisarzem Surmą była tyleż krótka, co nieprzyjemna, przez telefon nie chciał zdradzić nawet jednego szczegółu, kazał jej wysłać oficjalny faks z zapytaniem.

Faks wysłała, ale na tym nie poprzestała. Od tego samego dyżurnego załatwiła kolejny numer telefonu, tym razem do komisarza Piotrowskiego. Ta rozmowa przebiegała w zupełnie innej atmosferze. Krótco po tym, gdy się przedstawiła, komisarz przypomniał sobie, że oboje kilka miesięcy wcześniej uczestniczyli w szkoleniu w ośrodku MSWiA, nie gdzie indziej jak w Szklarskiej Porębie. Pięć minut później Sara Bednarz wiedziała już niemal wszystko o morderstwie

w Borowie. Gdy komisarz Piotrowski wspomniał o porzuconym bmw, w piwnych oczach pani nadkomisarz zapaliły się ogniki. A kiedy okazało się, że ze ścieżki wiodącej do domu, w którym popełniono morderstwo, zdjęto kilka odcisków butów, poczuła, jak po plecach przebiegają jej ciarki.

Teraz musiała tylko sprawdzić, czy któryś ślad ze strumienia pasuje do tych zdjętych w Borowie.

*

- Teraz trzeba to tylko sprawdzić - nadkomisarz Surma zerknął na Piotrowskiego, sięgając po słuchawkę telefonu. Rozmowa, którą odbył, była krótka, ale najwyraźniej owocna, bo szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Lakier z samochodu naszego mężusia pasuje idealnie do tego, jaki technicy pobrali z bmw. Łatwo nie było, bo wrak był niemal doszczętnie spalony, ale coś tam wyskrobali.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - zauważył Piotrowski.

- Nie dziwi cię fakt, że potencjalni mordercy godzinę wcześniej niemal spychają z drogi jedyne go członka rodziny, jaki pozostał przy życiu?

- One wtedy jeszcze żyły.

- Faktycznie... - zamyślił się Surma. - Ale i tak coś tu nie gra.

- Sugerujesz coś?

- Na razie głośno myślę - zaczął nerwowo pstrykać długopisem. - Nos mi podpowiada, że to nie był przypadek. Ci z bmw zajeżdżają mu drogę, a po godzinie z zimną krwią mordują jego żonę i dziecko? Coś tu śmierdzi.

- Podejrzewasz go - to było stwierdzenie, nie pytanie.

- Zaczynam go podejrzewać - przyznał. - Kto po niej dziedziczy?

- On jest jedynym spadkobiercą - Piotrowski wertował notatnik. - Ale niewiele tego będzie.

- Ile?

- Standardowe ubezpieczenie na życie plus polisa. Licząc razem z dzieckiem, dostanie może ze sto tysięcy.

- To jest według ciebie mało?

- Stówa? - zdziwił się Piotrowski. - Dla takiego szmalu nie warto ryzykować dożywocia.

- Nie dla takich sum ludzie zabijają.

- Fakt. Ale na mój nos, tu chodzi o coś innego niż kasa.

- Nagle zmieniłeś zdanie? - oznajmił Surma z widocznym zadowoleniem. - Jeszcze minutę temu broniłeś faceta.

- Tylko dlatego, że uwielbiam się z tobą droczyć - Piotrowski zaprezentował szeroki uśmiech.

- Intuicja, czy masz coś więcej?

- W spalonym wraku były dwa kanistry po benzynie, a w garażu Miki znaleziono zakurzony ślad idealnie pasujący do ich wymiarów - wstał, sięgając po kurtkę zawieszoną na oparciu krzesła. - Chyba powinniśmy szarpnąć się do szpitala, by znów odwiedzić naszego ulubionego pacjenta.

- Bez wątplenia, powinniśmy.

*

Większość ludzi ma o ochroniarzach nie najlepsze zdanie. A już zdecydowanie, jeśli są nimi emerytowani wojskowi lub policjanci, często ze sporym już brzuszkiem. Albo też renciści, którzy sami ledwie powłóczą chorymi na reumatyzm nogami, i niby jak mieliby ścigać przestępców?

Do tej grupy sceptyków zaliczała się też Sara Bednarz, przynajmniej do dziś. Rano dostała bowiem wiadomość, że chce z nią rozmawiać ochroniarz z pensjonatu znajdującego się tuż przy wyciągu narciarskim w Szklarskiej Porębie. Z nią, czyli osobą prowadzącą śledztwo w sprawie śmierci studenta. Facet zostawił numer komórki, zadzwoniła do niego od razu, ale przez telefon nie chciał rozmawiać. Umówiła się z nim na popołudnie, z rana miała mnóstwo zaległej papierkowej roboty.

Kiedy dotarła do pensjonatu i weszła do środka, ochroniarz już czekał. Wystarczyło zobaczyć, jak mężczyzna wygląda i już wiedziała, że nie przyjechała nadaremno. Dobijał pięćdziesiątki, sprawdziła to wcześniej, ale trudno było w to uwierzyć, widząc wyrzeźbione mięśnie odznaczające się pod idealnie dopasowanym uniformem. Całości dopełniał zapach markowych perfum i blask bijący z oczu.

- Zbigniew Rodak - uściśnął jej dłoń na powitanie, delikatnie, aczkolwiek na tyle mocno, aby wiedziała, że gdyby tylko chciał, pogruchotałby jej wszystkie kości. Najwyraźniej nie chciał.

- Sara Bednarz - przedstawiła się. - Były wojskowy? - policjantka znana była z tego, że jakiegokolwiek konwenanse są jej zupełnie obce i obojętne, a o jej bezpośrednim sposobie bycia krążyły po komendzie legendy.

- Ładna i bezpretensjonalna - uśmiechnął się w odpowiedzi. - A skoro w randze nadkomisarza, to musowo inteligenta. Gdybym był z dziesięć lat młodszy...

- Gdyby pan był dziesięć lat młodszy, to ja przegrałabym z dwudziestkami, które by się o pana zabijały - roześmiała się perlistym śmiechem.

- To mi pochlebia - ukłonił się szarmancko. - Ale na pewno nie zjawiała się pani tutaj, żeby mi prawić komplementy.

- Nie, ale zawsze lubiłam łączyć przyjemne z pożytecznym - to już był jawny flirt. - Co pan ma dla mnie?

- Nie tutaj - szepnęła konfidencjonalnie. - Pójdziemy do mojej kanciapy. Coś pani pokażę.

*

- No i co z tego? - Mika zmarszczył brwi tak mocno, że zwały się w jedną. - Przecież to chyba oczywiste: to mordercy ukradli te kanistry.

- A skąd wiedzieli, że znajdują je akurat w garażu? - spytał Surma, żując w ustach wykałaczkę.

- Boże święty! Skąd oni was biorą? - Mika uderzył zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń. - A gdzie miałbym trzymać kanistry z benzyną? W spiżarni? A może w kotłowni? Nie, wiem, najlepszym miejscem byłoby sąsiedztwo murowanego grilla!

- A tak w ogóle, to po co panu było paliwo? - Piotrowski włączył się do rozmowy.

- Dużo jeżdżę autem, kupuję benzynę na zapas, gdy jest tańsza - Mika zaczął tłumaczyć. - W szopie za domem znajdziecie dwie duże beczki, z których przelewam paliwo do kanistrów, a stamtąd do baku - wstrzymał oddech. - A tak w ogóle to nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa - z sykiem wypuścił powietrze.

- Tak? - Surma przeciągnął samogłoskę. - A w jakim niby zmierza?

- Teraz powinienem powiedzieć, że udaje pan głupiego - Mika zawiesił głos dla spotęgowania efektu. - Ale nabieram coraz większego przekonania, że wcale nie musi pan udawać.

Surma ruszył do przodu, komisarz stanął mu na drodze.

- Spokojnie, bez nerwów - Piotrowski poklepał kolegę po ramieniu. - Nie odpowiedział pan na pytanie - zwrócił się do Miki. - W jakim kierunku zmierza ta rozmowa?

- Odnoszę wrażenie, że zaczynacie mnie podejrzewać o zamordowanie żony i córeczki - Mika wytrzymał spojrzenie komisarza.

- A powinniśmy mieć ku temu powody? - zapytał Surma.

- Powinniście sobie stąd iść - syknął Mika. - Albo nie, możecie zostać, właśnie miałem się zbierać.

- Dokąd? - zaciekawiał się Piotrowski.

- Byle dalej stąd - westchnął Mika. - Za chwilę mają mnie wypisać.

- Chyba to już panu mówiłem, ale dla jasności powtórzę: proszę nie opuszczać miasta - Surma pogroził palcem.

- To jak mam wrócić do domu? - rzekł Mika.
- Kolega źle się wyraził - wyjaśnił Piotrowski. - Oczywiście może pan wrócić do domu, nasi chłopcy już skończyli swoją robotę. Chodzi jedynie o to, aby był pan w pobliżu miejsca zamieszkania. To w razie, gdybyśmy chcieli się pilnie skontaktować.
- Na przykład po co? - Mika usiadł na łóżku. - Żeby mnie aresztować?
- Gdybyśmy chcieli pana aresztować, już dawno byśmy to zrobili - Surma popatrzył znacząco na kolegę.
- Zbieramy się - Piotrowski podszedł do drzwi.
- Mogę o coś spytać? - Mika wstrzymał oddech.
- Jasne - Piotrowski kiwnął głową na znak aprobaty, cofnął się o krok.
- Kto was wezwał? - spytał Mika nerwowo.
- Sąsiad. I nie nas, tylko najpierw straż pożarną - Piotrowski wolno cedził słowa. - Obudziło go szczekanie psów, wyrzwał przez okno i zobaczył wóz pańskiej żony odjeżdżający spod waszego domu. To go nie zaskoczyło. Natomiast zdziwił się, gdy samochód zatrzymał się zaraz za wsią przy innym aucie, stał tam chwilę - sąsiad nie potrafił dokładnie określić jak długo - po czym odjechał. Facet już miał wracać do domu, gdy wybuchł pożar, po chwili tamto drugie auto płonęło jak pochodnia. Od razu zadzwonił na straż pożarną i poszedł do pańskiego domu, sprawdzić, czy coś się nie stało. Chwilę potem dał znać na policję. To wszystko.
- To wszystko - powtórzył bezwiednie Mika.
- Do widzenia - szepnął Piotrowski, przepuszczając w drzwiach Surmę.

*

- Gdy usłyszałem w radiu o tym wypadku przy strumieniu, pomyślałem, że dobrze będzie sprawdzić nagrania z całej

nocki - Zbigniew Rodak sprawnie wstukał kod na klawiaturze.

- Szósty zmysł? - Sara Bednarz pochyliła się nad mężczyzną i spojrzała na ekran monitora, wdychając przy tym głęboko zapach jego perfum.

- Rutyna - pokiwał przecząco głową. - Proszę sobie wziąć krzesło - pokazał palcem na złożony pod przeciwległą ścianą mebel. Gdy policjantka ruszyła w tamtą stronę, odwrócił głowę od monitora, by szybko otaksować wzrokiem jej nogi i pupę.

- I jak? - zadała pytanie, wzięwszy krzesło i rozłożywszy je obok biurka.

- Już włączam nagranie.

- Nie mówiłam o tym.

- A o czym? - zerknął podejrzliwie na policjantkę, naciskając pauzę.

- Dobrze pan wie, o czym mówię - przypatrywała mu się z wyraźną satysfakcją.

- Słucham? - nie drgnął mu nawet jeden mięsień na twarzy.

- Jak wypadłam? - wytrzymała jego spojrzenie. - A ściślej mówiąc: jak w pana oczach wypadły moje nogi i ta część ciała znajdująca się nieco powyżej ud, którą mężczyźni uwielbiają bezczelnie lustrować?

- Nie zrobiłem tego w bezczelny sposób.

- Ale w mało subtelny na pewno. Nie wiem, w jakich formacjach wojskowych pan służył, ale to było chyba dawno temu, bo dał się pan podejść jak uczeń - szydziła.

- Co takiego mnie zdradziło? - spytał z autentycznym zainteresowaniem.

- Powiedzmy, że mam szeroki kąt widzenia - roześmiała się. - A tak naprawdę, to zobaczyłam ruch pana głowy w szybie - wskazała dłonią okno z widokiem na hotelowy parking.

- Albo się starzeję, albo pani jest naprawdę dobra w te klocci - rzucił, wzdychając. - Wolę tę drugą wersję.

- Ja też - uśmiechnęła się szeroko. - A teraz proszę mi pokazać to, co sprawiło, że mnie pan tutaj ściągnął.

- Proszę - włączył odtwarzanie.

Pierwsze nagranie trwało prawie minutę. Tyle trojgu ludzi zabrało przejście z chodnika przy hotelu do lasu. Szli wolnym krokiem, poklepując się po plecach, dwóch mężczyzn kilka razy podniosło do ust puszki piwa. Drugie nagranie było o połowę krótsze. Po ubraniach można było poznać, że to ta sama trójka. Ale tym razem poruszali się o wiele szybciej, równym, miarowym krokiem, nie było żadnego klepania, nie mówiąc o popijaniu. Wyraźnie się spieszyli.

- Macie tutaj bardzo dobre kamery - Sara Bednarz była pod wrażeniem. - Jakość nagrania jest doskonała. W życiu bym nie pomyślała, że sprzęt w takim hoteliku może być tak wysokiej jakości.

- Oni najwyraźniej też nie - uśmiechnął się szeroko. - Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało nieskromnie, ale to moja zasługa. Udało mi się przekonać właścicieli, że nie warto oszczędzać na monitoringu. Aparatura kosztowała masę pieniędzy, ale sprawdziła się już za pierwszym podejściem. Dzięki nagraniu udało się namierzyć złodzieja okradającego samochody gości.

- My też nie będziemy mieli problemu z ustaleniem personaliów. Jeżeli mamy w bazie ich zdjęcia, są nasi - zatarła dłonie z zadowolenia. - Ile czasu dzieli oba nagrania?

- Coś koło godziny.

- Dwóch facetów i jedna kobieta. Jeśli to oni zamordowali studenta, to łącznie z dojściem nad strumień mogło im to zająć godzinę? - myślała na głos.

- Amatorom, i owszem. Ale proszę zwrócić uwagę na to, jak oni się poruszają - włączył ponownie drugie nagranie.

- Mogę się założyć o sporą sumę, że to zawodowcy. Ta kobieta, siłą rzeczy najsłabsza z całej trójki, robi niemal dwumetrowe kroki, praktycznie nie marnując grama energii. Tak porusza się tylko ktoś po długim i profesjonalnym szkoleniu. Do tego ich buty - zatrzymał kadr i powiększył zdjęcie. - W sklepie takich nie kupisz. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że są z branży.

- Wojsko? - zdziwiła się.

- Najpewniej.

- Albo ktoś, kto przeszedł specjalistyczne szkolenie, a potem poszedł na swoje.

- Wielce prawdopodobne.

- A pan w jakich formacjach służył? - zmieniła nagle temat.

- Między innymi w Gromie.

- W Gromie?! - cmoknęła z uznaniem. - W tym Gromie?

- O ile mi wiadomo, jest tylko jeden Grom - wyszczerzył zęby. - Tak trudno w to uwierzyć?

- Po sylwetce i zachowaniu widać, że służył pan w wojsku i to w nie byle jakich jednostkach - omiotła go wzrokiem.

- Co były żołnierz Gromu robi na stanowisku ochroniarza małego hotelu w Szklarskiej Porębie?

- Uwielbiam góry, dlatego Szklarska Poręba. Przez całe życie marzyliśmy z żoną, już nieżyjącą, o domku w górach - zamilkł na moment.

- Przepraszam...

- Nic się nie stało. To już prawie pięć lat, czas... Nieważne - nabrał głęboko powietrza. - Gdybym miał całe dni spędzać w domu, chyba strzeliłbym sobie w głowę z bezczynności. Pracując w ochronie mogę wykorzystać wiedzę i umiejętności nabyte w wojsku. Lubię tę robotę.

- A ta robota lubi pana - pokręciła z uznaniem głową.

- Będę potrzebowała kopii tych nagrań.

- Już zrobiłem. Dwie, tak na wszelki wypadek - sięgnął po płyty CD. - To wszystko?

- Na razie tak - schowała je do kieszeni kurtki. - Gdyby dowiedział się pan jeszcze czegoś ciekawego, proszę o kontakt - podała mu wizytówkę, podeszła do drzwi.

- Nie omieszkam - odparł bez zastanowienia.

- Dziękuję za pomoc - nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.
- Do widzenia.

- Do widzenia. Aha!

- Tak? - spytała, stojąc już na zewnątrz.

- Wypadły dobrze.

- Słucham?

- Pani nogi i ta część ciała, która znajduje się nieco powyżej ud, a którą mężczyźni uwielbiają bezczelnie lustrować, wypadły dobrze. Delikatnie mówiąc - uśmiechnął się szeroko.

Sara Bednarz najpierw spojrzała na niego, odwzajemniejszy uśmiech, potem pogroziła mu palcem. Chwilę później odwróciła się bez słowa i zamknęła za sobą drzwi.